

PHILLIP MARGOLIN

**MORDERSTWO
NA KAPITOLU**



**THRILLER POLITYCZNY RÓWNIĘ PRZEWROTNY JAK
HOUSE OF CARDS**

PROLOG

KARACZI, PAKISTAN

Nadim Gandapur – drobny, żyłasty mężczyzna nieco po czterdziestce – całe życie spędził w rozległym, zakurzonym i gęsto zaludnionym labiryncie chat z pustaków, bazarów i krętych uliczek tworzących jedną z największych dzielnic biedy w Karaczi. Zawód budowlańca szczęśliwie zapewniał mu stały dochód, dzięki czemu jego rodzinie żyło się znacznie lepiej niż większości sąsiadów. Nadim wierzył, że fortuna mu sprzyja dlatego, że jest pobożny, więc często bywał w meczecie – najważniejszym punkcie tych slumsów.

Tego wieczoru, kiedy poznał Amerykanina, Nadim wyszedł z meczetu dopiero po zapadnięciu zmroku, ponieważ dyskutował z imamem Ibrahimem, czy ramadan powinien się zaczynać wtedy, gdy dwóch lub więcej muzułmanów zobaczy sierp księżyca, czy należy się opierać na prognozach astronomicznych. Wracając do domu, wciąż roztrząsał argumenty imama, nie zorientował się więc, że śledzi go dwóch mężczyzn... przynajmniej dopóki nie wepchnęli go do wąskiej, kiepsko oświetlonej uliczki.

Potknął się o kupę śmieci i zatoczył do tyłu. W wilgotnym powietrzu w ciasnocie ulicy trudno było oddychać, od smrodu gnijących odpadków chciało mu się rzygać. Napastnicy mieli na sobie białe koszule z krótkimi rękawami, wypuszczone na brązowe spodnie. Jeden z nich uśmiechał się do Nadima, drugi nie okazywał emocji. Z pochw ukrytych pod koszulami obaj wyciągnęli wielkie noże. Nadimowi żołądek podszedł do gardła.

– Oddawaj forszę albo wypruję z ciebie flaki – zażądał wesołek.

Za plecami złodziei Nadim zobaczył kolejne sterty śmieci upchnięte pod murem. Odniósł wrażenie, że ich część się poruszyła, i zaczął się obawiać, czy aby ze strachu nie postradał zmysłów.

– Szybko! – rozkazał ten, który się nie uśmiechał.

Nadim wyciągnął portfel, modląc się w duchu, żeby tamci nie odebrali mu czegoś więcej niż tylko pieniędzy. Już go podawał złodziejom, kiedy naraz sterta śmieci urosła do wysokości ponad metra osiemdziesięciu i poszybowała ku niemu. Nadim wybałuszył oczy i zamarł, zatrzymując rękę w pół drogi do napastnika. Roześmiany złodziej groźnie zrobił krok w jego stronę. Gdy zaczął artykułować kolejne groźby, z kupy śmieci wysunęła się solidna noga od stołu i wyrznęła go w łokieć. Złodziej z wrzaskiem upuścił nóż na ziemię.

Drugi złodziejaszek odwrócił się i machnął nożem na odlew. Nadim usłyszał jęk. Śmieci cofnęły się o krok, a złodziej przypuścił atak. Noga od stołu sparowała cios i wylądowała na twarzy złodzieja. Ten oburącz chwycił się za nos i drugi nóż upadł na ziemię. Spomiędzy jego palców

trysnęła krew. Noga od stołu weszła w kontakt z gołenią złodzieja, tak że osunął się na ziemię i po kolejnym ciosie, tym razem w głowę, stracił świadomość.

Pierwszy złodziejaszek, zgięty wpool, ścisnął zgruchotany łokieć. Zwalił się jak kłoda, gdy noga od stołu trafiła go w podstawę czaszki.

Tymczasem oczy Nadima przywykły do ciemności. Dostrzegł sylwetkę mężczyzny w łachmanach, z potarganymi, tłustymi blond włosami do ramion, niebieskimi oczami i kudłatą brodą z zaplątanymi w nią resztkami jedzenia i odpadkami. Amerykanin. Nadim widywał go żebrzącego przed wejściami do luksusowych hoteli oraz biurowców ze szkła i stali, stojących zaledwie kilka przecznic od dzielnicy nędzy, w której mieszkał. Wiedział, że Amerykanin żyje w najgorszej części tych slumsów, w budzie przylegającej do otwartej wygódki. Większość sąsiadów go unikała, bo miał wśród nich opinię szurniętego brutala. Nadim słyszał, że kiedyś podobno ciężko pobił kilku mężczyzn, którzy chcieli okraść go z pieniędzy.

– Wynośmy się stąd – odezwał się Amerykanin w urdu, bez śladu obcego akcentu. Kolejna niespodzianka, bo był tak małomówny, że wielu ludzi uważało go za niemowę. Brudna ręka chwyciła Nadima pod łokieć i wywlokła z uliczki.

– Dziękuję – powiedział Nadim, kiedy znów znaleźli się na ulicy. Nagle zobaczył krew sączącą się spod łachmanów swojego wybawcy. – Jesteś ranny.

Amerykanin spojrział w dół, a potem zaklął po angielsku: „Cholera!”. Zacisnął dłoń na ranie i zachwiał się. Nadim szybko podjął decyzję.

– Chodź ze mną – polecił.

– Nic mi nie będzie – zaprotestował Amerykanin, lecz zaraz jęknął i kolana się pod nim ugięły.

– Jeżeli nie zajmie się tym lekarz, będzie z tobą bardzo kiepsko.

Nadim objął rannego w pasie i zarzucił sobie jego rękę na ramiona. Wspólnymi siłami powlekli się do meczetu.



Kiedy służący Imrana Afridiego zaprowadził Rafika Nasrallaha na patio z tyłu rezydencji, Afridi popijał miętową herbatę, patrząc, jak załamują się fale na Clifton Beach. O tej porze roku w Karaczi panowała duchota, ale bryza znad Morza Arabskiego chłodziła powietrze w bogatym przedmieściu, gdzie Afridi zbudował swoją posiadłość. Pakistański biznesmen miał na sobie jedwabną koszulę z długimi rękawami, opinającą jego szerokie bary. Kiedy wstał na powitanie Nasrallaha, rozpięte rękawy załopotwały na wietrze.

Afridi miał metr siedemdziesiąt wzrostu, potężną klatkę i grube nogi zapaśnika. Proste czarne włosy mu wypadały, więc jego czoło stawało się coraz wyższe, dlatego w ramach rekompensaty zapuścił gęste wąsy pod orlim nosem i w rezultacie wyglądał trochę jak pustynny szejek żywcem wyjęty ze starego hollywoodzkiego filmu.

Nasrallah był o pięć centymetrów wyższy i równie potężnej budowy jak jego przyjaciel z dzieciństwa, ale gęste czarne włosy mu nie wypadały, a gładka skóra sprawiała, że wyglądał na dużo mniej niż czterdzieści lat z okładem. On i Afridi, jako dzieci majątnych ojców, odebrali wykształcenie w Cambridge, po czym wrócili do Pakistanu, by podjąć pracę

w rozmaitych przedsiębiorstwach rodzinnych. Łączyło ich jeszcze jedno – obaj wyznawali skrajnie islamistyczne poglądy.

Czując siłę uścisku przyjaciela, Afridi zdał sobie sprawę, że Rafika rozpierają emocje.

– Imranie, chyba trafiliśmy na żyłę złota – oznajmił Rafik, kiedy już obaj usiedli naprzeciwko siebie przy okrągłym stoliku ze szklanym blatem.

Podał przyjacielowi fotografię i zamilkł. Gdy Afridi wpatrywał się w zdjęcie, uśmiech znikł z jego ust, a na twarzy pojawił się wyraz intensywnego skupienia.

– Przedstawia się jako Stephen Reynolds, ale moim zdaniem wcale się tak nie nazywa. Ma dwadzieścia trzy lata, pochodzi z Ohio, gdzie studiował na wydziale inżynierii – podjął Rafik. – Przez jakiś czas studiował także chemię.

– Mów dalej – ponaglił go Afridi, gdy Rafik przerwał, żeby przyjaciel na pewno zrozumiał wagę tego, co mu właśnie powiedział.

– Kilka miesięcy temu Reynolds wyglądał zupełnie inaczej niż na tej fotografii. Utrzymywał się z żebrania, a gnieździł się w norze w slumsach, w których mieszka również jeden z uczniów imama Ibrahima. Kiedyś tego ucznia napadło dwóch złodziei. Reynolds go uratował, ale został przy tym ranny. Więc uczeń zaprowadził go do meczetu, a imam wezwał lekarza.

Rana okazała się poważna, w dodatku Reynolds był niedożywiony. Poza tym uzależniony od narkotyków. Imam pielęgnował go tak długo, aż Amerykanin wrócił do zdrowia. Podczas pobytu w meczecie Reynolds zaprzyjaźnił się z imamem i opowiedział mu, dlaczego mieszka w slumsach w

Karaczi.

Chodził do prywatnego liceum, w którym można się było dodatkowo uczyć arabskiego, i zafascynował go islam. Surfował po internecie, zaglądał na różne czaty. Na studiach nadal uczył się języków bliskowschodnich i nawiązał kontakty z muzułmanami popierającymi naszą sprawę. Po amerykańskiej inwazji na Irak się radykalizował.

W trakcie studiów przytrafiła mu się niemiła historia z kobietą. Wyrzucono go z uczelni i postawiono zarzuty kryminalne. Wycofano je, ponieważ rodzina zapłaciła grube pieniądze, żeby uniknąć skandalu, ale jego ojciec to były wojskowy. Nie zgodził się na zapłacenie kobiecie, dopóki syn nie zaciągnie się do wojska, co też młody zrobił, bo inaczej trafiłby do więzienia. I chociaż potem głęboko żałował tego wyboru, miał dość rozumu, żeby się z tym nie zdradzać.

Był wyśmienitym sportowcem. A ponieważ oprócz tego biegle władał dialektami afgańskimi, trafił do służb specjalnych.

Nasrallah zrobił teatralną przerwę. Odwlekał tę chwilę jak najdłużej, po czym podjął:

– A teraz najlepsze. Reynolds nie istnieje.

Afridi zmarszczył czoło, na co Rafik uśmiechnął się szeroko.

– Jego jednostka podczas wykonywania misji wpadła w zasadzkę w Afganistanie. Reynolds jako jedyny przeżył, ale nie zgłosił się do bazy, więc uznano go za zaginionego w akcji – wyjaśnił. – Przedarł się przez góry do Pakistanu i w końcu dostał się do Karaczi.

Rafik pochylił się nad stołem.

– Imranie, on jest bardzo zgorzkniały. Pomstuje na Stany Zjednoczone. Uważa się za ofiarę i wciąż mówi o zemście.

Afridi znów wpatrzył się w fotografię. Przedstawiała jasnowłosego mężczyznę o niebieskich oczach. Z aparycji i budowy ciała wyglądał jak typowy uczelniany gwiazdor sportu – uosabiał przeciwieństwo tych cech fizycznych, na które zwracają uwagę analitycy Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Taki ktoś mógł się dostać w dowolne miejsce, nie budząc niczyich podejrzeń. Był marzeniem każdego terrorysty i najgorszym koszmarem CIA.

– Myślisz o Stanach Zjednoczonych? – spytał Afridi.

– Nadawałby się idealnie – odparł podniecony Rafik.

– Taka prośba to nie byle co. On się wychował jako Amerykanin. Nawet jeśli mówi językiem dżihadu, jak przyjdzie co do czego, może nie zechce wcielić słów w czyn.

– Nowo nawróceni często są największymi fanatykami – upierał się przy swoim Rafik.

Afridi oparł się wygodnie i spojrział na morze. Nasrallah milczał. Z nich dwóch to Imran był myślicielem, a Rafik człowiekiem czynu. Często spędzali ze sobą czas, grając w szachy. Jeśli wygrywał Rafik, co zdarzało się rzadko, to tylko dzięki śmiałym posunięciom, które odnosiły skutek, mimo że nawet ich dobrze nie przemyślał. Ale zazwyczaj to Imran gnębił przyjaciela i odnosił zwycięstwo.

– Niepokoi mnie dopuszczenie tego człowieka do naszej operacji – rzekł Afridi. – Jak dotąd podejmowaliśmy wyłącznie właściwe kroki. Najmniejszy błąd może zaprzepaścić wszystko, do czego dążymy.

– Nie ma żadnego ryzyka, Imranie. Wyślę Mustafę, żeby go wybadał, tak że nie będzie żadnego powiązania z nami.

A do rozpoczęcia operacji mamy jeszcze mnóstwo czasu.

Afridi przemyślał to sobie. W końcu skinął głową.

– Zgoda. Załatw z Mustafą, żeby z nim porozmawiał.

– Ostrożność dowodzi twojej mądrości, Imranie, ale jeśli on się nada...

– Tak.

– A jeśli nie... – Nasrallah zawiesił głos i wzruszył ramionami. – Karaczi to duże miasto. Amerykanin zawsze może zniknąć.

CZĘŚĆ PIERWSZA

OBYŚ ŻYŁ W CIEKAWYCH CZASACH

Trzy lata później

1

Gdy tylko Dana Cutler i Jake Teeny weszli do China Clipper, Dana zdjęła kask motocyklowy i rozpuściła długie do ramion włosy. Wypatrujący ich Brad Miller pomachał ręką z boksu w głębi sali, gdzie czekał na nich z Ginny Striker. Dana – prywatny detektyw – i jej chłopak Jake, fotograf prasowy, tworzyli niezwykłą parę. Przyjechali na jego harleyu, ubrani w czarne skórzane kurtki i dżinsy. Oboje byli szczupli i wysportowani, ale Dana, przy wzroście metr siedemdziesiąt osiem, przewyższała swojego faceta o trzy centymetry. Jake, szatyn o kręconych włosach i piwnych oczach, miał śniadą cerę – rezultat smagania przez pustynny wiatr i wystawiania na słońce w rozmaitych strefach wojennych i egzotycznych stronach, do których go wysyłano. Dana przykuwała uwagę mężczyzn zielonymi oczami i kasztanowymi włosami, lecz wydawała się tak twarda i niebezpieczna, że mało który ośmielał się ją zaczepić.

Kiedy podeszli do boksu, Brad podał rękę Jake'owi, ale nie próbował uściskać Dany. Nie znosiła kontaktu fizycznego,

a on wiedział dlaczego. To, że w ogóle sypiała ze swoim chłopakiem, najlepiej świadczyło o sile łączącego ich związku.

Brad miał metr siedemdziesiąt osiem wzrostu, jasnoniebieskie oczy, prosty nos i kręcone czarne włosy z pierwszymi śladami siwizny – rezultat tego, że w trakcie ekscytujących przygód, jakie spotykały go przez dwa lata z rządu, doprowadził do upadku prezydenta Stanów Zjednoczonych i uratował życie sędzi Sądu Najwyższego. O kilka lat starsza od niego Ginny – wysoka, smukła blondynka o wielkich niebieskich oczach – wychowywała się na Środkowym Zachodzie i zanim poszła na prawo, przez kilka lat pracowała jako pielęgniarka. Poznali się nieco ponad dwa lata wcześniej, kiedy zaczęli pracę w wielkiej kancelarii prawnej w Portlandzie w Oregonie.

– Co słysząc u nowożeńców? – zapytał Jake, uśmiechając się szeroko, i parsknął śmiechem, bo Brad i Ginny się zaczerwienili. Kilka tygodni wcześniej, będąc na ich ślubie, patrzył na dwa blade kłębki nerwów. Dzisiaj byli mocno opaleni, odprężeni i wydawali się szczęśliwi.

– Opowiadajcie, jak minął miesiąc miodowy – ponagliła ich Dana.

– Żeby to, co powiemy, trafiło na czołówkę twojego szmatławca? – zadrwiła Ginny, uśmiechając się szeroko.

Dana od czasu do czasu pisywała materiały śledcze dla „Exposed” – sprzedawanego w supermarketach tabloidu, który żył z doniesień o UFO, yeti i o tym, że znów widziano Elvisa. Gazeta dostała też jednak Pulitzera za cykl artykułów, które najbardziej przyczyniły się do tego, że Christopher Farrington przegrał wybory prezydenckie na rzecz Maureen Gaylord.

Dana roześmiała się.

– Nic z tego, co mi powiesz, nie wylądje na biurku Patricka Gormana – obiecała. – No i dokąd się w końcu wybraliście? Jeśli o to chodzi, byliście okropnie tajemniczy.

W tym momencie zjawiała się kelnerka, by przyjąć zamówienie. Gdy odeszła, Ginny powiedziała:

– Sędzia Moss sprawiła nam niesamowity prezent ślubny.

– Fajniejszy od laleczki płodności Aszanti? – rzucił Jake.

Dana dała mu sójkę w bok.

– Odkąd Brad uratował sędzi Moss życie, prasa ani na chwilę nie dawała nam spokoju. Dlatego poprosiła Tyrella Trumana, żebyśmy mogli pomieszkać w jego posiadłości na Hawajach, gdzie reporterzy nie mogliby nas napastować – wyjaśniła Ginny.

– U tego gwiazdora? – zdziwił się Jake.

Brad skinął głową.

– Sędzia Moss poznała go, kiedy była z Martinem Lutherem Kingiem. Wtedy nie miał jeszcze statusu gwiazdora, dopiero raczkował w zawodzie. Od tej pory są serdecznymi przyjaciółmi.

– Truman akurat kręci film gdzieś w Azji, ale wysłał własny samolot z pilotem, żeby nas zabrał do posiadłości – ciągnęła Ginny. – Są w nim skórzane fotele i wykończenia w drewnie. No i podali nam szampana i kawior.

– Owszem, ale w porównaniu z posiadłością Trumana jego samolot to nic specjalnego – dorzucił Brad.

– On wcale nie żartuje – wpadła mu w słowo Ginny. – Rezydencja jest niesamowita. Mieliśmy prywatną plażę i służbę, a gotował nam jego osobisty kucharz.

– Jedzenie było nie z tej ziemi – ciągnął Brad. – Jednego

wieczoru kuchnia francuska, drugiego włoska.

– Ja tam wolę hamburgera z frytkami – rzuciła Dana.

– Nawet taka wieśniaczka jak ty byłaby pod wrażeniem – zapewnił ją Brad. – Prawdę mówiąc, któregoś dnia poprosiłem o hamburgera i dostałem takiego cheeseburgera, że w życiu nie jadłem nic podobnego.

– Z frytkami z batatów i niesamowitym koktajlem kawowym na mleku – dodała Ginny.

Wróciła kelnerka, niosąc wielką wagę zupy z kraba z kukurydzą.

– A co wy porabiacie? – zapytał Brad; tymczasem Ginny nalewała wszystkim zupę.

– Ja wyjeżdżam do Afganistanu – odparł Jake.

– Na długo?

Wzruszył ramionami.

– Się okaże. Jedziemy w góry, na terytoria plemienne, przeprowadzać wywiady z watażkami.

– To chyba niebezpieczne – zauważyła Ginny.

– Niebezpieczeństwo to moje drugie imię – zażartował Jake, lecz Brad czuł, że Dana nie widzi w tym nic śmiesznego.

– A jak się ma branża prywatnych detektywów? – zapytał.

– Dobrze – ucięła Dana. – Więc czym zamierzacie się zająć, żeby mieć co włożyć do garnka?

Brad zwrócił uwagę, jak szybko zmieniła temat, i zaczął się zastanawiać, czy przyjaciółka rzeczywiście nie narzeka na brak zleceń. Rola, jaką odegrała w aferach Farringtona i Moss, przyniosła jej spory rozgłos medialny, Brad zakładał więc, że klienci walą do niej drzwiami i oknami. Szczerze lubił Danę i miał nadzieję, że dobrze jej się powodzi.

– Wiecie, że odeszłam z dawnej firmy? – spytała Ginny,

na co Dana i Jake pokiwali głowami. – No więc w przyszłym tygodniu zaczynam pracę w Departamencie Sprawiedliwości.

– To pewnie całkiem inna para kaloszy – rzekł Jake.

– Mam nadzieję. Po koszmarnych doświadczeniach z kancelarią Reed i Briggs z Portlandu powinnam mieć dość rozumu, żeby nie wiązać się z Rankin, Lusk, Carstairs i White, ale potrzebowałam pieniędzy. Dwukrotnie popełniłam ten sam błąd, i wystarczy. Nie zamierzam być niewolnicą w wielkiej kancelarii prawnej obsługującej duży biznes, tylko dlatego że świetnie płacą.

– A ty, Brad? – zapytał Jake.

– Dostałem stanowisko doradcy prawnego w sztabie senatora Jacka Carsona z Oregonu – odparł. – Zaczynam w przyszłym tygodniu.

– To będzie pasjonująca praca, bez dwóch zdań. – Głos Dany ociekał sarkazmem.

– Nie lubisz go? – spytał Brad.

– Nigdy go nie spotkałam, więc nie znam go prywatnie, ale jego polityka jest do kitu. Zdziwiłabym się, gdyby go ponownie wybrali po tym, jak włązi w dupę terrorystom.

– Wcale nie włązi w dupę terrorystom – zaprotestował Brad obronnym tonem. – Stale powtarza, że wspiera nasze wysiłki zmierzające do rozprawienia się z Al-Kaidą i innymi grupami terrorystycznymi. Ale zależy mu na zdrowym podejściu do naszej strategii politycznej na Bliskim Wschodzie.

– Zdrowa polityka to użycie naszego arsenału jądrowego. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby cały tamten obszar zamienić w olbrzymi parking.

– Hej, *amigos!* – przerwał im Jake. – Nie ma mowy, żeby

polityka zepsuła nam tak wyborną kolację. Wzajemne urazy źle wpływają na trawienie.

– Popieram – dodała Ginny. – Żadnego gadania o polityce przy stole, dzieci.

Przez chwilę Dana łypała wściekłym wzrokiem, prezentując Bradowi i Ginny tę stronę swojej osobowości, której można było się przestraszyć. Jeśli chodzi o przemoc, nie znała granic. Brad cieszył się, że nie jest jej wrogiem.

Szybko jednak zmieniła front.

– W porządku, zejść z naszego zatwardziałego liberała.

– A ja się zgadzam na rozejm z tą faszystką – odparł Brad z uśmiechem.

– Mam nadzieję, że to największy spór, jaki nam grozi przez najbliższy rok – oznajmiła Ginny. – A właściwie to nawet do końca życia.

– Jestem za – poparł ją Brad. – Liczę, że będziemy się nudzić do końca życia i że już nigdy nie przytrafi nam się nic ważnego.

– To wykluczone, skoro masz pracować w Senacie – zauważył Jake.

– Miałem na myśli nasze życie osobiste. Obym nigdy więcej nie musiał oglądać seryjnego mordercy ani płatnego zabójcy. Emocji mam już powyżej uszu. Właśnie dlatego ożeniłem się z najnudniejszą kobietą pod słońcem.

– Hej! – oburzyła się Ginny, wesoło dając mu klapsa.

I tak się przekomarzali przez całą kolację. Czekając na rachunek, wpadli na pomysł, by zajrzeć do pobliskiego baru z muzyką na żywo, o którym słyszał Jake. Kiedy podano ciasteczka z wróżkami, każdy otworzył swoje i odczytał je na głos. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, gdy wróżba wysłała

Jake'a w daleką podróż. Dana miała otrzymać spadek, a Ginny poznać przystojnego bruneta, na co Jake od razu się rozkręcił.

– A twoja wróżba? – spytała Dana Brada.

– Jakaś taka nijaka – odparł. – Tu jest napisane: „Obyś żył w ciekawych czasach”.

Jake odrzucił głowę do tyłu i gruchnął śmiechem.

– Co cię tak rozbawiło? – zdziwił się Brad.

– Nigdy tego nie słyszałeś? – spytał Jake.

– Nie.

– Otóż wiedz, przyjacielu, że to stara chińska klątwa.